

Ilustrowany dwutygodnik.

Organ Tow. Łowieckiego w Poznaniu, poświęcony sprawom myślistwa i rybołóstwa.

Abonament do 1-go Lipca br. **2,70** mk. tylko pod opaską. Od 1 Lipca br. także na poczcie **2,50** mk. — **Ogłoszenia** od wiersza trzyłamowego petytem na pierwszej stronie **20** fen., na dalszych stronach **15** fen. — Adr. Administr. Łowca: Dziennik Poznański, Poznań — Posen.

Artykuły, które mają być w najbliższym numerze umieszczone, uprasza się nadsyłać 14 dni przed wyjściem pisma. — Rękopisów się nie zwraca.
Adres Redakcji Łowca: **Dr. Tadeusz Jaworski, Poznań-Posen, Ogrodowa Nr. 18, II** (Gartenstr.)

Nr. 3. Poznań, dnia 1-go Maja 1907. Rok I



Zebranie Towarzystwa Łowieckiego odbędzie się dnia 9 maja*) o godzinie 4-tej w hotelu Francuskim w Poznaniu, na które członków towarzystwa jako i gości, miłośników łowiectwa, najuprzejmiej zapraszamy.

Jednocześnie niech nam wolno będzie wyrazić szczere podziękowanie za tak liczne dowody życzliwości, okazane z okazji ukazania się pierwszego numeru „Łowca."

Nie wzbija to nas bynajmniej w zarozumiałość; niedomagania pisma naszego widzimy może dokładniej jeszcze, jak bezstronni. — ale to przedewszystkiem trzeba mieć na uwadze, iż nigdy jeszcze dotąd żadne pismo fachowe w tak krótkim czasie, przy tak skromnych zasobach i to bez rutynowanych sił redakcyjnych nie zostało założone. Mimo to zapewnić możemy przyjaciół towarzystwa i pisma naszego, iż zainteresowanie społeczeństwa jest ogólne, tak, że w przekonaniu pożyteczności i skuteczności pracy naszej możemy z spokojem patrzeć w przyszłość.

Pierwsi nimrodzi Wielkopolski stają w szeregu naszym, — w szeregu korespondentów i współpracowników. — Częściowo umieszczamy w dzisiejszym numerze ich prace.

Wprawdzie są też odmienne głosy, których w imię bezstronności nie możemy pominąć. Oto nestor naszego myślistwa, starzec blisko stuletni, na prośbę naszą napisania artykułu dla „Łowca" taką dał nam odprawę:

„Chcecie bym pisał do „Łowca"? To jest rzecz stracona; kto ma go abonować? Dobra sprzedane, bory wycięte, obywatele kryją się w miastach

*) Dla ważnych powodów przenieśliśmy posiedzenie z środy 8 **na czwartek 9 maja.**

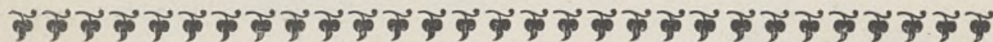
i zjadają ostatnią fortunę, żyjąc bez użytku dla Ojczyzny i społeczeństwa. Czy ci mają abonować „Łowca?“ Oni chcą się bawić, rezonować w kawiarniach i za nowościami gonić. — Co ich obchodzi zwierzyna, kiedy jej nie mają? — Mamy teraz czasy takie, że każde przedsięwzięcie trzeba pilnie rozważyć, co ono warte i tylko takie podjąć, które oczywisty pożytek przynieść może, bo zazwyczaj nadzieje nasze okażą się złudne, zawodzące wszelkie obrachowania.“

Szanownemu weteranowi łowiectwa, jako i wszystkim w powyższych zapatrywaniach pokrewnym — odpowiadamy:

Szanowny Pan przez kilkanaście lat z okien swojego mieszkania w Poznaniu widzisz tylko tych codziennie, którzy z wygody lub lekkomyślności pozbywając się ojcowizny bruk miejski szlifują, — ale wiek Twój sędziwy nie pozwala Ci zajrzeć do knieji, do pól pracy tych, którzy szczerze i z otuchą w lepszą przyszłość pracują na glebie Ojców. — I my to robimy, a zakładając Towarzystwo Łowieckie i „Łowca“ sądzimy, iż służymy uczciwej i pożytecznej sprawie.

Dzięki też Panu — w którego ręku jest wszystko, losy zwierza i człowieka, mamy jeszcze obszerne lasy, w których rozlega się trąbka prawidłowego myśliwego, a przedewszystkiem mamy jeszcze liczny szereg towarzyszy broni, którzy umieją i chcą pracować dla łowiectwa, a więc i dla społeczeństwa. Niech im będzie za to cześć, a chwała św. Hubertowi.

Wydział Towarzystwa Łowieckiego.



Wspomnienia z dawnej przeszłości

według

„Gawędy starego strzelca“

powtórzył Wł. hr. Łącki.

Najpierw winienem się przedstawić Tobie, Szanowny Czytelniku — nazywam się Stanisław Gorajski, skończyłem lat 76 w miesiącu kwietniu. W moim podeszłym wieku myśli błądzą pomiędzy kolebką a grobem. Za to świat dzisiejszy mało mnie obchodzi, żyję tylko przeszłością i o niej też gawędzić zamyślam.



Zdrowie moje z łaski Boga jest dobre i chodzić mogę bez zmęczenia dzień cały i nie każdy młodzik ze mną podoła. A że z zawodu i z wielkiego zamiłowania myśliwym jestem, więc i teraz czasami poluję. Ale jakież to polowania urządzają teraz panowie nasi! Przez cały rok nie pozwolą zabić rogacza ani zająca na kuchnię. Tylko raz

zebrawszy wielką ilość naganiaczy, zabijają po kilka set do tysiąca zajęcy — i z tego się chwalą, nawet po gazetach drukują.

Ja tej blagi od niemców przejętej nie lubię, bo cóż za sztuka z ich wybornej broni zające mordować, które im, jak owce w stadach napędzają. Mnie się dziwno wydaje, gdy patrzę na tych paniczów, siedzących i z krzeseł strzelających, za którymi stoi służba i nabitą broń podaje. Niektórzy nawet przepuszczają na prawo przebiegającą zwierzynę, bo im niedogodnie obracać się na krześle. Uważałem też, że niejeden z nich powróciwszy do domu okłada zimną wodą nabrzmiałą twarz i osiniałe ramiona. Oby ich tylko w starości głuchota nie nawiedziła!

Za moich lat młodych polowaliśmy inaczej. — Pozwól, Szanowny Czytelniku, że Cię przeprowadzę po naszych dawnych kniejach, obeznam ze sposobem myślistwa, z zwierzyną i ptakami, które przepełniały wyniosłe lasy nasze. Może Cię to rozerwie, jak kiedyś przechadzka w towarzystwie Pana Marcelego p omieście Poznaniu, albo spacery za miastem z Panem Ł.

Przepraszam, że o sobie i ludziach wonczas żyjących pisać będę — ale to do rzeczy należy.

Zawód myśliwski rozpocząłem w roli strzelca. Pan mój posiadał rozległe dobra i lasów 36,000 morgów, składających się z 18-stu łowisk. Te łowiska oprócz numerów zachowały od niepamiętnych czasów nazwy swoje, które tu przytaczam, bo wyczytałem w „Kurjerze", że wydział Przyjaciół Nauk w Poznaniu interesuje się i wyszukuje te staropolskie nazwiska.

1) Szesnice, 2) Ściegny, 3) Zawiście, 4) Ochobycz, 5) Ukrza, 6) Wargaczka, 7) Żurawiniec, 8) Czaplikierz, 9) Piekło, 10) Pielgrzymki, 11) Duranki, 12) Pęga, 13) Smaglizna, 14) Suć, 15) Mordzany, 16) Żołna, 17) Pszczeli borek, 18) Królewskie błoto.

Administracja leśna składała się natenczas z nadleśniczego Głogowskiego i leśniczego Bierkowskiego, brata profesora w Krakowie. (Był on później leśniczym w Kórniku.) Podleśniczymi byli: Jankiewicz, dawny strzelec hr. Mikołaja Mielżyńskiego z Baszkowa, i Zieleziński. Każde łowisko miało borowego, z herbem dziedzica i numerem na czapce. Pan nasz był zawołanym myśliwym i polowania odbywały się prawie co tydzień. — Ludzi na nagonki nie zbierano, za to mieliśmy ośm sfór ogarów doskonałych. Wspomnienia o was, poczciwe psiska, łzy mi z oczu wyciskają, bo ileż radości, ileż emocji wyście mi sprawiły! Ty stary Doboszu, ty z grubym głosem Hałc, czarny Bombasie, żółty Zagraju, ty miła dyszkantko Śpiewko, i wy białe szybkonogie Dunaju i Wisło! Co za przepyszna muzyka, gdy razem zwierza wzięły na oko! Las się zatrząsł, nogi myśliwych zadrzały.

Strzelców było nas czterech, Kokot, Dybysławski (pono z szlachty pochodzący), nazwany Gruby Józef, Adaś i ja najmłodszy.

Gruby Józef miał wydział ogarów i razem z Kokotem je w kniei zapuszczali. Z początku zagrały ich trąby: znak, że psy z sfór spuszczono. Gdy te ucichły, rozległ się donośny śpiew Grubego Józefa: Szary, bury, łysy, kusy, nasz, nasz, nasz, nasz! Nareszcie jeden z ogarów wpadł na trop zwierza — na głos

jego przypadła cała zgraja i rozpoczęła się muzyki cała orkiestra. Strzelcy odwodzą kurki, za drzewa i krzaki się kryją.

A byli to strzelcy nie lada! Najstarszy był p. Karol Brodnicki z Wilkowa. On zwykł łowami dowodzić, bo znał dokładnie wszystkie knieje i wszelkie zwierząt przebiegi. Rozkazy dawał sygnałami na trąbce myśliwskiej, a na zakończenie łowów, gdy (podjezdnego) zatrąbił, to musiałby przyznać Mickiewicz, że echo trąbki Brodnickiego możedłużej i dalej jak Wojskiego sięgało.

Był on zresztą typem dawnego prawdziwego szlachcica, miał też ogólny szacunek. Tem tylko różnił się od nas myśliwych, że nigdy, nawet w żartach nie kłamał.

Przez usilną oszczędność i pracę, dorobił się na dzierzawie dóbr (Runowa) znacznego kapitału, który był pewnemu magnatowi pożyczył, nie biorąc piśmiennego zapewnienia. Usługując przy stole, posłyszałem jak pan mój dziwił się jego nieostrożności.

Na co Brodnicki z oburzeniem odpowiedział: „Jakżeż ja szlachcic, miałem od szlachcica żądać piśmiennego zepewnienia — a przecież, dzięki Bogu, dotąd nie jesteśmy żydami!

Pomimo podeszłego wieku, bo miał przeszło lat siedmdziesiąt, miał wesołość młodzieńczą. Opowiadał w gronie myśliwych rozmaite z życia swego wypadki — między tymi jeden, który spamiętałem i tutaj przytaczam.

Książe Antoni Radziwiłł, namiestnik, lubił go i na polowania zapraszał. Razu jednego przejeżdżał książe przez Wilkowo, wieś Brodnickiego, w chwili, gdy tenże szedł drogą przebrany za dziewkę, chcąc podejść stado dropi, które zwykle są bardzo ostrożne. Radziwiłł przyglądał się ciekawie dziewce ze strzelbą na ramieniu, a poznawszy Brodnickiego, zawołał go po nazwisku, gdy tenże zawstydzony ubraniem, zamiast wytłumaczyć przyczynę, począł w pole uciekać. Naturalnie, że książe powróciwszy do Poznania, rozgłosił, że biedny Brodnicki zwaryował.

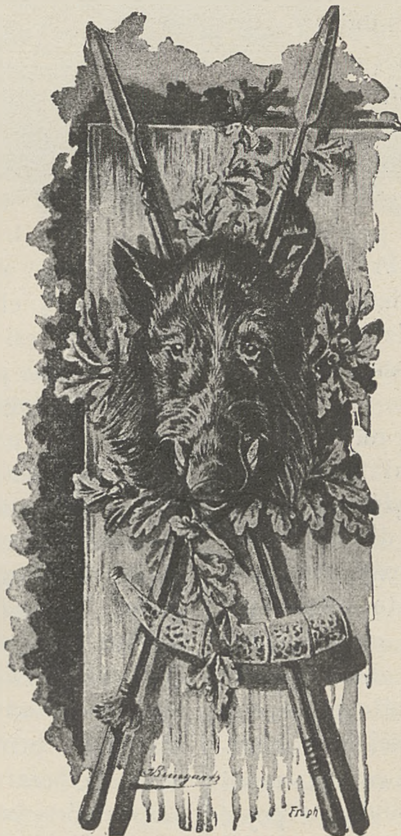
Między starszymi myśliwymi odznaczał się szczególnie pan Seweryn Ostrowski, którego sława myśliwska dotąd się zachowała, bo on rzuconego w górę talara kulą rozbijał. Pan Roch Drwęski był zapalony myśliwy. Dwa dni przed śmiercią kazał się wozić po lasku, leżąc na materacu, aby raz jeszcze usłyszeć głosy goniących swoich ogarów. Do znanych ówczesnych myśliwych należał także pan Grabski, zięć Brodnickiego, pomimo, że oko stracił na polowaniu. Byli też młodzi panicze, hr. Jan i Ignacy z Samostrzela, którzy już natenczas za ogarami dzielnie się uganiali. Z nimi przybył młody hr. Roger Raczyński, ale to jakiś filozof, a partacz w myślistwie. W roztargnieniu ciągnął strzelbę po śniegu i kazano mi za nim chodzić i śnieg z lufy stęplem wygarniać.

Z Berlina przyjeżdżali i polowali: profesor Wojciech Cybulski, u nas urodzony; akademicy Ryszard Berwiński, Edmund Chojecki, Władysław Kościelski i kilku innych, których nazwiska zapomniałem. Ale to byli w myśliwstwie partacze. Berwiński zemdlał z emocji, i nie wystrzelił, gdy na niego grono jeleni z zagaju wypadło.

Mnie się nigdy w głowie pomieścić nie mogło, że są ludzie na świecie, co nie lubią myślistwa; ja tych

ludzi zawsze się wystrzegam, bo według mego zdania człowiek uczciwy, przytem zdrów na ciele i umyśle musi być myśliwym.

Pamiętam wielkie polowanie, na które dużo panów się zjechało. Było to w dzień świętego Karola, imieniny pana Brodnickiego. Na tem polowaniu widziałem drugiego solenizanta dr. Marcinkowskiego. W łowisku Piekło rozbili obszerny namiot, wystrojony wewnątrz gałązkami świerków i chojny. Zbytków wtenczas nie było jak dzisiaj. Kuchmistrz Witkowski (ojciec zmarłego wysoko zasłużonego kapłana) nagotował zrazów, bigosu, które kuchciki w lesie odgrzali i tem pożywiali się wszyscy, popijając węgrzyna na zdrowie obu Karolów.



Sarn i zajęcy mniej było, niż dzisiaj, ale za to dziki trzodami chodziły, mając żołędzi i buczyny wbród. Polowano na nie także z kundlami, z których najzaciętsze były Rabin i Ryfa. Za moich czasów zdarzyło się, że kądle i ogary osadziły dzika silnego w mrowisku; kuchcik, który przyłączył się do myśliwych z rożnem w ręku, przybiegł pierwszy do dzika — gdy ten, wyrwawszy się ogarom, ciął kłem kuchcika w nogę, i byłby go może zatratował, gdyby strzelcy nie byli mu przyśli na pomoc. Do dzików strzelaliśmy kulami, lub też loftkami, które sławny myśliwy litewski pan Andrzej Popowicz nazywał grankulkami. Celować trzeba było pod łopatki, i często uważałem, że dobrze trafiony loftkami na miejscu się przewracał, kiedy na wylot przeszyty kulą, daleko jeszcze uchodził. Dawny leśniczy Wężyk opowiadał, że kądle na trop dzików puszczone, tak silnie dziki obsadzały, że on z dojeżdżaczem powrozem do sosny je przywiązywał i do takich nasz starszy pan z generałem Madalińskim strzelali.

Lisów było wiele, a ptactwa rozmaitego ilość niezliczona: kaczek, bekasów, dubeltów, biliśmy tysiące.

W lasach grały orkiestry ptaków: gwizdały kosy, drozdy, kwiczoły; kukułki kukały, gruchały gołębie, trzepały się między liśćmi makolągwy i sikorki, wybierając miejsca na nocleg, śmiały się sowy i puchacz raz po raz zahukał.

Gdy słońce wschodzi, i rosa roślinność ożywiać poczyna, pierwsze z leśnych ptaków budzą się dzięcioły, wylatując z wykutych swą pracą pałaców, kując dziobkami, budzą inne ptaszęta i tępią przez dzień cały szkodliwe owady.

Tych skrzętnych dobroczynnych ptaszyn jest u nas wiele gatunków. Największy czarny, ma głos donośny, mniejszy czewony łebek, i najmniejszy, lepką zwany, a to dla tego, że będąc za słabym, aby sam sobie mieszkanie wykuć, zalepia już wykuty przez silniejszego dzięcioła otwór i pozostawia go tak małym, że sam tylko wcisnąć się może. Masa, którą zalepia, szybko kamienieje i większy dzięcioł jej rozbić nie może, a przemyślny ten ptaszek zdobył sobie mieszkanie, w którem spokojnie jajka swe składa.

Pokrewnym ptakiem dzięciołów jest żołna, koloru zielonego; tępi także owady, ale zarazem i pszczoły i to w dowcipny sposób. Przylatuje do ula, zapukawszy dziobkiem, wpuszcza w otwór swój język nadzwyczaj długi, i gdy go pszczoły obsiędą, szybko połyka.

W naszym wieku w nauce postęp jest wielki. Ale uczeni nasi więcej się trudnią słońcem, księżycem, gwiazdami, niż ziemią naszą, dla tego mało postąpiliśmy w znajomości przyrody, nawet w badaniu świata roślinnego. O ornitologji całkiem zapomniano; a jakaż to ciekawa, a zarazem miła nauka badać te rozmaite ptaki, ich stopnie rozumu, czułości i pamięci.

Podziwiamy zmysłowe zdolności papugi, kruka i sroki; a któż pojąć zdoła organizację przylatujących do nas na wyląg ptaków, które znów w jesieni nas opuszczają? Czy to instynkt tylko, który ich po raz pierwszy od nas do Afryki prowadzi? Powiedzcie nam to bociany, żurawie, jaskółki i wy najmilsze nam słowiki!

Ptaki rozmaicie swe gniazda budują, wspomnę tylko ciekawsze. Kos i drózd wylepia je z błota, okrągłe jak filiżanka, z tą jednak różnicą, że pierwszy w pniach olszowych, drugi zaś na gałęzi.

Kukułka zalotnica składa swe jajka w obce usłane już gniazdko, najczęściej pliszki, wysłane pierzem i włósiem, albo trzciniaka, który kilka trzcin łykiem wiąże i w środku gniazdo swe tak silnie przymocuje, że go wiatr zrzucić nie może.

Ale najkunsztowniej zofia buduje swoje pomieszkanie, wyplecione z nitek, piór i sierści bydlęcej. Gniazdko to zawiesza na jednem tylko długiem włósiu końskiem, które się ciągle porusza.

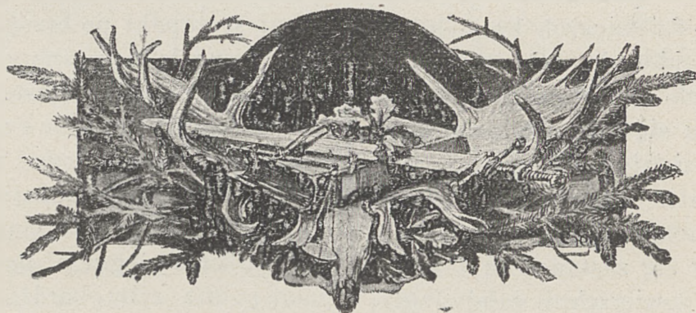
Potrzeba być myśliwym i żyć, jak ja z naturą, aby pojąć i zrozumieć tę poważną chwilę, kiedy w starym liściastym lesie słońce zachodzi i ostatniem błyśnie promieniem, a z drugiej strony księżyc blade swe światło roztaczać poczyna. Natenczas las listkami po raz ostatni zaszumi, powstaje cisza urocza i czujesz, że jest to przed spoczynkiem westchnienie natury do Boga, i ja też, odkrywszy głowę krótką zmawiam modlitwę. Żal mi, że natenczas nie polował ze mną Sienkiewicz, bo on byłby to wyraźniej od innych zrozumiał. Marzenia moje przerwała, uderzając mnie w twarz, czarna krówka. Znów cisza, w górze pomrukują bekasy i brzęczą przelatujące krówki. Nagle usłyszałem jakieś z daleka chrapanie, coraz bliżej, nareszcie świst nad głową i przeciągnęła słonka, ptak ulubiony myśliwych.

Coraz to ciemniej, noc się przybliża, coraz smutniejsze nachodzą mnie myśli.

Mój Boże wielki! co się stało? gdzie są dziś te miłe ptaszęta? gdzie

się podziały te niebotyczne lasy, które nam przodkowie pozostawili?

Wszystko znikło! wszystko wasz postęp, wasza szumna cywilizacja pożarła. Ona to zbudowała koleje żelazne, któremi żydzi stuletnie dęby, buki i sosny wywieźli. — Gdzież teraz biedny ptaku mieszkać, gdzie się gnieździć będziesz? Za wywiezione drzewa sprowadzili całe masy obczyzny, które nas obsiadły i grożą — że na naszej ziemi z czasem i nam miejsca do gniazd własnych zabraknie.



Rybołóstwo.

Gospodarstwo rybne w wodach dzikich.

Rozpoczynając z dniem dzisiejszym szereg artykułów, traktujących o rybach, o hodowli ryb, o rybołóstwie, jestem zmuszony opisać w krótkich słowach dzikie gospodarstwo rybne, t.j. takie, gdzie los ryb pozostawiamy naturze. Ryba, stała mieszkanka wód, może tylko żyć w takiej wodzie, która jej odpowiada. A ponieważ mamy wody słone i słodkie, więc mamy także ryby morskie i rzeczne. Wogóle trzy czwarte znanych gatunków ryb zamieszkuje głębiny morskie, a tylko jedna czwarta wody stałego lądu. Ta cząstka ożywia nasze rzeki, strumyki, jeziora i stawy. Dawniej rzeki odznaczały się wielkiem bogactwem ryb. Jeżeli zagłębimy się w stare kroniki, to znajdziemy, że Jan Kazimierz koło Sokala rakami całe wojsko nakarmił. Colerus opowiada, że w roku 1593 w Odrze w jednym dniu złowiono przeszło 500 beczek ryb, z których 400 zdążono wyjąć z sieci, resztę zaś zamrożonych sprzedawano za bezcen. Zwykle ryby, jakie łowiono, składały się z leszczy, okoni, linów, sandaczy, karpi, szczupaków itd. Tenże pisarz opowiada, że karpie trafiały się do nieuwierzenia wielkie. Tak samo obficie pojawiały się węgorze, zwłaszcza „latem koło św. Jana, gdy zagrzmi“. Podobnaż obfitość była raków: płacono 6 fenygów za kopę. W Kistrzynie był zwyczaj płacenia od każdych 100 kóp złapanych raków jednę kopę cła: w aktach znaleziono, że w roku 1718 cło to wynosiło 325000 kóp, a zatem złowiono 32500000 kóp raków. W roku 1719 była nadzwyczajna susza, w skutek której wody w rzece Odrze opadły i tak mocno od gorąca ociepliły się, że

raki, szukając chłodu, powychodziły z wody, chroniły się w trawę, a niektóre musiały włazić na drzewa, aby się schować między liście, z których je jak gruszki otrząsano.

Na taką obfitość mieszkańców wód wpływała nietylko pieczołowitość właścicieli ziemskich, ale nadto większa ilość pokarmów, jaka się wówczas w dziewiczych krajach i ich wodach znajdowała. O ile w dawnych latach okoliczności sprzyjały rozmnażaniu się ryb, o tyle wszystko składa się dzisiaj na ich wyniszczenie. Jak to wielce szkodliwie działa na rozwój ekonomiczny kraju, łatwo zrozumieć, gdy się zastanowimy, że jedna piąta powierzchni całej Polski składa się z rzek, strumieni, jezior i stawów. Nie jeden z czytelników stawi pytanie, jakie są właściwie przyczyny, które działają dla ryb w rzekach tak niekorzystnie? Najważniejszym czynnikiem jest coraz to dalej naprzód postępująca kultura. Widzimy, że n. p. w Renie jest coraz mniej ryb, coraz mniej sławnych łososiów reńskich, natomiast wszystkie rzeki w Syberji cieszą się szaloną ich obfitością. Jedna z przyczyn, działająca na zubożenie wód, jest ich zanieczyszczanie. Rzeki i rzeczki uważać można jako kanały odpływowe, zabierające z sobą wszelkie nieczystości z okolic, przez które przepływają. Wzrastająca ludność, powiększona hodowla zwierząt, zakłady fabryczne i przemysłowe, podniesiona kultura gruntów, silne nawożenie mierzwą i sztucznymi nawozami, wszystko to razem sprawia, że wiosną, gdy wody z pól płyną, rzeki są zapełnione iłem. To zanieczyszczenie szkodzi nie tyle rybom ile ikrze, która właśnie w tym czasie jest składaną. Nie mniejszą szkodę wyrządza niebaczność ludzka. Rybołóstwo w rzekach i jeziorach należy do właścicieli gruntów nad niemi położonych. Ci nie dają im dostatecznej opieki, łowią sami, pozwalają łowić innym w każdym czasie; a ponieważ najłatwiej łowić podczas tarła, więc wtedy spieszy każdy na łowy, strzela, bije ośćmi szczupaki po brzegach, po wylewach, na łąkach, smugach i strumieniach. Łowienie gęstemi sieciami, nie wrzucanie małych i młodych rybek napowrót do wody, wszystko to składa się na wyniszczenie ryb. Dalej niemałą szkodę wyrządza spław drzewa oraz żegluga parowa. Niepokoją one ryby bardzo, ponieważ wzburzają wody; ryby uciekają w ciche miejsca, a tam znowu czatują na nie rybacy. Przytem wzburzone przez parowiec fale zabierają na brzegach złożoną ikrę. Do przyczyn zubożenia wód zaliczają niektórzy wycięcie lasów, wskutek czego wiele pomniejszych rzeczek i strumyków łatwo wysycha latem a wymarza zimą. Ryby tem sposobem tracą przestrzeń wód, w którychby mogły składać ikrę i wyżywiać się. Nadto z lasami zginęło wiele milionów owadów, które rybom szło na pożytek.

Usunięcie niektórych z tych przyczyn nie leży w ręku jednego człowieka, lecz państwa lub odpowiednich korporacji. W Niemczech pod tym względem nastąpiła zmiana. Od kilku lat stara się nietylko rząd ale i towarzystwa prowincjonalne rybackie o podniesienie rybołóstwa w wielkich rzekach. Co rok nabywają wielką ilość zarybku od hodowców i wsadzają go do wielkich rzek, do Wisły, Odry, Renu i t. d. Ponieważ kwestja narybiania wielkich rzek

mniej nas obchodzi, nie będę się dalej nad nią rozwodził. Więcej interesuje nas gospodarstwo rybne dzikie w większych jeziorach i stawach, takich, jakie się u nas w posiadaniu prywatnych ludzi znajdują. O tem napiszę w następnym artykule.

Dr. Roman Lewandowski.

* * *

Kórnik, 21 kwietnia 1907.

Rządowa ochrona ryb zmuszająca do wstrzymywania się przez 3 dni tygodnia od ich połowu — jest mojem zdaniem niewystarczająca. —

Już bowiem od 10 kwietnia napotyka tu się szczupaki wyikrzone (odstałe), a jest to ryba potrzebująca bardzo ochrony. W roku bieżącym na zarybek szczupaka liczyć nie możemy, bo czas tarła był bardzo niekorzystny. Kiedy bowiem szczupaki na miałkich brzegach się wymrzościły, woda zaczyna zaraz opadać. Ponieważ zaś ikra do wylężenia przy ciepłem powietrzu 12—15 dni potrzebuje, przy zimnem zaś do 28 dni, napewno wiele jej zmarniało wskutek osuszenia brzegów.

W kwietniu trze się okoń.

Obowiązkiem hodowcy jest urządzenie w miejscach zacisznych tarlisk. Wyszukuje się w tym celu na dnie jeziora — pagórków, na których umieszcza się gałęzie jałowcowe, sosnowe, albo cierniowe i gruszkowe. Te ostatnie trzeba rok naprzód na brzegu jeziora ułożyć, aby im kolce pogniły. W przeciwnym bowiem razie może się zdarzyć, że sendacz, który takie tarliska również odwiedza, poraniwszy sobie kolcami brzuch marnieje. Okoń już w trzecim roku zaczyna odbywać mrzost. Wyrośnięty składa do 300,000 jaj (ikry) wielkości maku. Ikro wylęga się dopiero po upływie 3 tygodni. Okoń jest rybą drapieżną, pomykając susami za zdobyczą żywi się drobnemi rybkami, rozmaitemi owadami i rakami.

W miesiącu maju trze się najwięcej ryb. Wspominam tu jednak tylko o leszczu, głównie z tego powodu, że wiele go łowią podczas mrzostu. Czynią to ci rybacy, którzy nie mając odpowiednich przyrządów, aby go jesienią lub zimą łowić, czutują tylko na chwilę, w której leszcze gromadnie udają się na brzegi, aby tu się wymrzościć. Mnóstwo leszczy wtedy wyławiają sprzedając je za pół ceny, bo kiedy zimą płacą do 30 marek za centnar, osięga się w maju zaledwie 12 do 15 marek.

Błędnem jest zapatrywanie, że złowiony leszcz złoży ikro w skrzyni rybackiej. Leonard Dreczkowski.





Zajęcia łowieckie w maju.

Maj! Nie dla samego poety brzmi wyraz ten czarująco. — Mieszkaniec stolicy naszej nałykawszy się różnych mikrobów i kurzu spieszy za miasto do Kobylegopola lub Puszczykowa odetchnąć czystem świeżem powietrzem, ucieszyć się zieloną naturą, posłyszeć głos słowika. Całe szeregi zaprowiantowanych spieszą ku przerażeniu straży leśnej za miasto do nęcących zielonością lasów. — Z podziwem obserwuje ich z wysokiej areny klown nasz leśny wiewiórka — a kuplecista szpak z gałęzi „cabaretu" wygwizduje „prześwietnej" publiczności.

Ach! jakże życie jest rozkoszne! A cóż dopiero mówić o myśliwym, który nie wiązany żwirówką, lub bielonymi kamieniami oznaczonym chodnikiem! Jemu czysta natura odsłaniu swe wdzięki, on pełnem uchem chwyta ową muzykę, która Sienkiewicza Jankowi „grała — grała i ciągle grała." — On czujnem i bystrem okiem śledzi jednocześnie za wrogiem swojej knieji, — on liczy kozły występujące z gęszczu leśnego na oziminy i przez binokiel studjuje ich korony; po odartych drzewkach, którymi wieniec z omszenia czyściły, rozpoznaje jak silnym był rogaty psotnik leśny.

Od dwuch lat dzięki zmienionemu prawu łowieckiemu jeszcze dwa tygodnie kozieł używa spokoju; „życzliwy sąsiad" otwarcie przynajmniej go nie odstrzeli i pozwoli dojrzeć koronie.

Najniebezpieczniejsze są dla niego pierwsze tygodnie maja, gdy żyto jeszcze nizkie, gdy z lasu dla robactwa przenosi się w pola; wówczas z łatwością upatrzeć można spoczywającego kozła.

Niestety w bieżącym roku, w niektórych obwodach jak n. p. poznańskim już 10 maja — w innych jeszcze rychlej podobno wypowiedziano mu wojnę. — Widać panom od zielonego stolika już tęskno za sarniną! — Prawidłowy myśliwy nie poluje wogóle na rogacza w maju; — czeka aż barwę zmieni z szaro-brunatnej na czerwoną, a przedewszystkiem aż korona zupełnie dojrzeje, straci ślady omszenia i nabierze połysku, co zwykle równocześnie się dzieje. — Nie zapominajmy o tem, iż korona kapitalnego szóstaka nieraz czterykroć więcej warta od jego pieczeni. — Więc powstrzymajmy jeszcze gorączkę myśliwską kilka tygodni. Natomiast zawczasu pamiętać trzeba o ścieżynach leśnych. Oczyścić je z suchych gałęzi należy, aby pękające nie spłoszyły zwierzyny.

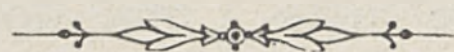
Miesiąc maj jest też ostatnim w sezonie wiosennym, w którym do głuszca, cietrzewia i bażanta, — koguta oczywiście — strzelać wolno. Jednakże z pozwolenia — zapisanego w karcie do polowania — mało pewnie kto skorzysta.

Co do odstrzelenia było, odstrzelono już w rychlejszej porze, — maj i czerwiec to miesiące spokoju, to sezon martwy zabawy strzeleckiej; — myśliwy ustępuje miejsca hodowcy.

Więc przypomnieć tylko należy i powtórzyć, co powiedzieliśmy o polowaniu w miesiącu kwietniu: baczność na drapieżniki! — Ten jest bowiem tylko prawidłowym myśliwym, kto jest zwierzyny swojej dobrym stróżem. W miesiącu tym lisy mają młode, więc są podwójnie niebezpieczne dla zwierzyny. Przeszukać zatem należy wszelkie znane jamy lisie, za nieznanemi stale tropić. Liszka w razie niespodzianego połogu wyszukuje dla siebie buduar położniczy, gdzie może, — w króliczej jamie, — pod suchym mostem, w starej cegielni; więc przepatrzeć i zbadać należy wszelkie tym podobne ukrycia. — Bardzo często w zbożu, nieraz w pobliżu ludzkich domostw, wykopuje sobie naprędce krótką jamę położniczą, z której do poblizkich kurników czyni wyprawy. Częste znikanie więc drobiu daje pewną wskazówkę, iż rabuś czerwony założył kwaterę w pobliżu.

Ostatnia też chwila nadeszła, aby rozpatrzeć wszelkie gniazda dwu i czteronożnych drapieżników, dopóki ich zieloność przed okiem myśliwego nie zakryje. Gdy nie można dotrzeć do nich, ładunek śrótowy Nr. 4 wypełni tu swoją powinność.

Mimo niekorzystny marzec, zimno i obfity śnieg wylęg marcowych zajęcy przedstawia się pomyślnie. Widzi się dużo dobrze odrosłych szaraków, tak, że jest nadzieja na obfite polowanie jesienne. — A więc cześć św. Hubertowi!



Pogadanka na czasie.

Ponieważ dotychczas rzadko zabierałem głos w sprawach łowieckich, muszę przedewszystkiem prosić Czytelników naszego, tak jeszcze młodego pisma, o pobłażliwość. — Znajduję jednak, że my wszyscy myśliwi z Księstwa, powinniśmy się starać, o ile możności, o zasilanie naszego

Łowca“ artykułami. — Tegoroczna ostra zima, dała się naszej biednej zwierzynie bardzo we znaki i, gdzie nie pamiętano zawczasu o rozwożeniu paszy, straty w zwierzostanie sa znaczne. Zrobiłem tego roku doświadczenie, które się zresztą zupełnie zgadza z teorją, że koniecznem jest, szczególnie dla naszych sarn, podawanie nie tylko suchej paszy, ale obok tego ćwikły lub marchwi; ścięte osice lub wierzby, których gałęzie zwierzyna bardzo chętnie żeruje, doskonale także działają.

W roku 1901 znaleziono w tutejszem łowisku około 80 sztuk padłych sarn. Dawano im wówcza tylko suchą paszę. Tego roku, co najmniej przy równie ostrej zimie, ale ponieważ rozwożono im odpowiednią paszę, znaleziono tylko około 15 sztuk sarn, i to przeważnie młodych, słabych roczniaków, których ubytek nie jest nawet stratą dla zwierzostanu, gdyż były to sztuki, którychbym sobie do rozpłodu wcale nie życzył. (Nadmieniam przytem, że stan sarn w tutejszem łowisku wynosi około 300—350 sztuk.)

Skutki tej ostrej zimy wpłynęły jednakże bardzo źle na porost rogów u naszych rogaczy. Każdy prawdziwie dobry myśliwy powinien dziś wiedzieć, jak jego rogacze wyglądają i jakiego rezultatu z tegorocznego podjazdu spodziewać się może. Muszę powiedzieć, że to, co dotychczas widziałem, nie bardzo mnie ucieszyło. Rogi, które w tych dniach tj. Z początkiem kwietnia zaczynają rogacze wycierać, nie obiecują wiele; — są przeważnie cienkie i odnogi krótkie. Rogaczy z dobremi odnogami i silnymi rogami, widziałem dotąd bardzo mało.

Kto więc chce mieć prawdziwą przyjemność z swoich rogaczy, niech się w tym sezonie jaknajwięcej ogranicza w ich odbijaniu, a ta ochrona wróci mu się z pewnością (przy normalnej zimie) w przyszłym sezonie w dwójnasób.

Strzelajmy więc tego roku tylko takie rogacze, u których wadliwa budowa rogów nie obiecuje nic dobrego na przyszłość, — odbijajmy w tym wypadku nawet i słabe rogacze, lub też prawdziwie mocne, których w każdym dobrym zwierzostanie kilka się zawsze znajdzie. Chcąc mieć jednakże nie tylko dobre ale i kapitalne rogacze, powinno się zawsze z roku na rok część tych silnych rogaczy zostawiać.

Naturalnie, że do tego trzeba mieć tyle siły woli, ażeby spotkawszy pięknego rogacza zatrzymać sztucer na ramieniu i zadowolnić się jego widokiem. Jesteśmy przecież myśliwymi, hodowcami zwierzyny, a nie tylko strzelcami.

Czy to nie przyjemnie spotykać w swoim lesie rogacza, którego się wyhodowało i zna o ile możności od spiczaka? Po zabiciu go przyjemność ta od razu ustaje, a w przeciwnym razie zawsze ma się nadzieję, że w następnym roku będzie miał jeszcze lepsze rogi, lub zachować go można dla miłego gościa, lecz tylko myśliwego, który zdoła ocenić, ile potrzeba nieraz starania, ażeby utrzymać dobry stan sarn i dochować się prawdziwie mocnych rogaczy. Bardzo często zdarzało mi się spotkać kolegę myśliwego, który mi mówił z wielką dumą: „Strzelam tylko szóstaki“ a nic nie wspominał o tem, że mu się też często zdarza omylić się i zamiast szóstaka, leży nieraz

średni widłak. — Przedewszystkiem dążymy przecież do tego, żeby mieć dobre rogi, i o ile możności chcemy też mieć kapitalne rogacze. Jeżeli więc każdego szóstaka strzelamy, nie możemy spodziewać się, żeby z widłaków lub spiczaków w następnym roku wyrosły od razu kapitalne rogacze. Mojem zdaniem najgorsze jest strzelanie bez wyboru każdego szóstaka; jestto po prostu ruiną jakości stanu sarn, bo prócz tego, że kapitalnych rogaczy wtedy wcale niema, stanowią sarny w sierpniu same spiczaki, a w najlepszym razie widłaki, jeżeli jeszcze jakie zostały. Bardzo często jednak strzela się nie tylko szóstaki, ale wogóle każdego rogacza, rachując na to, że kozy przyprowadzą sobie nowych małżonków z sąsiedztwa. Ale, moi szanowni koledzy myśliwi, zkądże się nareszcie te rogacze mają brać i gdzie ich te wasze kozy mają szukać, gdyby wszyscy mieli podobne zasady?

Jeszcze raz powtarzam, że tego roku trzeba być bardzo ostrożnym w odbijaniu rogaczy; łatwo jest zniszczyć stan sarn, a wiele trudniej go znowu podnieść.

Muszę jednakże naszemu Księstwu oddać tę sprawiedliwość, że na ogół przynajmniej dobrzy myśliwi kierują się wyłącznie zasadę, że sztucer jest jedyną bronią, której się używa na rogacza, a strzelanie śrótem prawie zupełnie ustało. Jestto też wielkie szczęście dla naszych sarn, i myślę, że temu przypisać można, że się stan sarn i to przeważnie polnych, w ostatnich dziesiątkach lat, bardzo podniósł. Jakże bowiem można poznać strzelając do rogacza bez rogów, szczególnie na nagance, czy on silny lub słaby. Muszę się przyznać, że dla mnie niema nieprzyjemniejszego widoku, jak leżące na rozkładzie przy zimowem polowaniu rogacze, a ile postrzelonych w ten sposób marnie ginie, o tem wolę zamilczeć. G.



Bratnie Towarzystwa.

Użyczając bardzo chętnie gościnności w łamach »Łowca« tak nielicznym wielkopolskim zjednoczeniom sportowym z prawdziwą przyjemnością na pierwszym miejscu zamieszczamy sprawozdanie Klubu Wioślarskiego, o którego potrzebie i znaczeniu dla zdrowia ciała i rozwoju myśli najgłębiej przekonani, wyrażamy mu najlepsze życzenia na przyszłość.

Na odbytem ostatniem Walnem Zebraniu Klubu Wioślarskiego zdawał Zarząd sprawozdanie z czynności w ubiegłym sezonie w obec licznie zebranych członków na czerwonej sali Domu Przemysłowego.

Z sprawozdania tego wynika, że Klub Wioślarski rozwija się bardzo pomyślnie, liczy bowiem 34 członków a posiada już 5 łodzi:

Czterowiosłową »Wisłę«, trzy dwuwiosłowe: »Goplanę«, »Maciejówkę« (dar prezesa) i »Wartę«, oraz kajak »Chochlika«.

Ćwiczeń względnie wycieczek odbył Klub Wioślarski 300 (w r. 05 133) z sumą 3335 kl. (w r. 05 — 627 kl.).

Członkowie odbyli razem 7213 kl. (w r. 05. 2656). Najdłuższa wycieczka wynosiła 160 kl. Najwyższa ilość kilometrów osiągnięta przez jednego członka wynosiła 1429 a najniższa 19 kl.

Sezon wioślarski rozpoczął się w marcu a zakończył się w połowie października.

Dwa dni w tygodniu są przeznaczone na ćwiczenia załogi, pozatem urządzają się wycieczki do Starołęki, Dębiny, Lubania, Puszczykowa, Rogalina i t. d. w górę rzeki, lub też do Szeląga, Wilczego Młyna, Radojewa i t. d. na dół rzeki.

Dotychczasowy Zarząd, składający się z p. p. Macieja hr. Mielżyńskiego, prezesa, dr. Stefana Michalskiego, wiceprezesa, Stefana Rucińskiego, skarbnika i Wacława Załuskiego, kapitana i sekretarza, wybrano ponownie na dalszy rok.

Naczelnikiem przystani obrano w miejsce opuszczającego Poznań p. Dreyzy, p. Stefana Krenca.

Zgłoszenia nowych członków przyjmuje Zarząd, w którym to celu udać się trzeba do przystani Klubu ul. Rzeczna Nr. 4 względnie do poszczególnych członków Zarządu.

Nowy sezon rozpoczyna się wiosną.





W sprawie terminologji. Jako autora rozprawy: „Kto jest prawidłowym myśliwym“ spotkał mnie z grona czytelników zarzut, że posłużyłem się dwukrotnie nie-myśliwskiemi wyrażeniami, używając słowa „krowa“ zamiast „łania“ i mówiąc o „kapitalnych jeleniach.“

Wdzięczny jestem za uwagi tyczące terminologji polskiej łowieckiej i przyznaję, iż użycie dosłownie w tłomaczeniu słowa „krowa“ zamiast „łania“ jest tylko u nas przyjętym prowincjonalizmem.

W „Łowcu Lwowskim“, M. Biesiekiewski w „Hodowcu i Myśliwym“ Kurowski (Myślistwo w Polsce) używają wyrażenia byki, łanie i cielęta. Natomiast „krowa“ użyto dla oznaczenia łosia feminini generis. Jednakże wyraz „kapitalny“ zastosowany do jelenia zachodzi tam wielokrotnie. Spotkamy się wszakże i u powyżej wymienionych z germanizmami jak „wechsel“ itp. to też jest pożądanem bardzo, ażebyśmy się wzajemnie pod tym względem pouczali. Niestety u nas na tym polu wiele poszło w zapomnienienie i wiele od nowa tworzyć należy.

Zbieram właśnie materjał do nomenklatury łowieckich wyrazów tech-

nicznych, które w piśmie naszem mam zamiar ogłosić. Nie tylko więc każde sprostowanie jest pożądanem, ale nawet koniecznem.

Wł. Janta-Półczyński.

* * *

Z życia zająca. Zwracam się do Czytelników „Łowca“ z zapytaniem, czy kto z nich widział zająca kąpiącego się w piasku, jak kuraki.

Obserwowałem takiego zająca w zeszłym roku 8-go maja na odległość 60 kroków przez dobre szkło, więc pomyłki być nie mogło. Zająca tego widziałem już z daleka, jak szedł z innego pola na pole jęczmienia i to wprost na mały placyk piasku w tem polu się znajdujący. Reszta pola są ciężkie, tłuste gliny. Gdy doszedł do owego miejsca piasku, zaczął się tarzać na plecach obsypując sobie brzuszek piaskiem za pomocą skoków. Trwało to kilka minut, poczem w widocznie dobrym humorze zabrał się do żerowania.

Zachowanie to tłomaczę sobie nadmiarem wilgoci panującej zeszłej wiosny. Pewno sobie biedak chciał turzycę wysuszyć.

Ponieważ w żadnej biografji zająca o tem nic nie czytałem, również w żadnem piśmie myśliwskiem nic podobnego nie znalazłem, uważałem sobie za obowiązek, podać obserwację tę do ogólnej wiadomości.

Miesiąc maj przypomina mi fatalnie wczesny termin tegoroczny otwarcia polowania na rogacze. Po tak srogiej zimie napewno znaczna ilość rogaczy futra zimowego przed tą datą się nie pozbędzie. Szczególniej w naszych stronach nadobrzańskich, gdzie po lekkiej zimie nawet mocne rogacze przed 1-szym majem rogów nigdy nie wycierają.

Św. Hubertowi!

Godurów, 14. IV. 1907.

Andrzej Żółtowski.

* * *

Rychło zaczynają! Kilku chłopców, z których jeden miał strzelbę, urządziło zeszłej jesieni wyprawe myśliwską na pola kartoflane i rzepowe między Dalkami a Dziekanką, w pobliżu toru kolejowego, gdzie gniździło się wiele stadek kuropatw. Jednakże broń palna nie dała chłopcom dodatnich wyników. Stwierdzili tylko, że zrywające się licznie kuropatwy kierują swój lot zawsze ku drutom telegraficznym nad torem kolejowym, przyczem tak się o nie rozbijają, że dają się potem chwytać łatwo. Urządzili więc formalne obłowy, często z dużym skutkiem, pędząc zawsze kuropatwy z jednego pola na drugie przez druty telegraficzne i tor kolejowy.

Przywódca małych kłusowników, Ludwik Kaczmarek, złowił raz przed południem sam jeden pięć kuropatw, pędząc je w powyższy sposób przez tor i druty. Martwe sztuki przyniósł do domu.

Policja się o tem dowiedziała i pociągnęła do odpowiedzialności pięciu kłusowników w wieku lat 10 do 15.

* * *





Na rozkładzie.

Jako dalszy ciąg mojej notatki w drugim numerze „Łowca“ dodaję, że ciąg słonek do zamknięcia polowania, czyli do 15-go b. m. był tutaj bardzo dobry. Słonki ciągły prawie bez przerwy co wieczór. Rezultat całego ciągu i kilku małych naganek: 45 sztuk. Przypisuję ten wyjątkowo dobry ciąg tej okoliczności, że śniegi w górach tego roku bardzo późno stajały i dlatego większa część słonek trzymała się płaszczyzny.

Cześć łowcom!

Tarce, 16. 4. 1907.

Z. Gorzeński-Ostroróg.

* * *

Będlewo, dnia 19. 4. 07.

Ubito w Ordynacji Będlewsko-Wrączyńskiej 43 słonki na ciąg.

Józef hr. Potocki, ordynat.

* * *

Ciąg słonek u nas w tym roku o wiele jest lepszy jak w przeszłym. Rozpoczął się późno, bo dopiero 25-go marca pierwszą zabił leśniczy; — odtąd mimo bardzo zimne wieczory ciągną po dziś dzień bez przerwy; padło już 19 — chybionych 21.

Rogaczy z zupełnie wytartymi rogami widziano już kilka, ale rogi są wogóle cienkie i bez pereł skutkiem ciężkiej zimy. Hr. Szembek.

* * *

W lasach pakosławskich (powiat nowotomyski) zabito w czasie ciągu 6 słonek.

* * *

Na tokach tegorocznych w knieji Gościenieckiej ubito od dnia 18-go do 23-go b. m.

80 cietrzewi

a mianowicie:

Pan Hayssen ubił 9 kogutów.

Pan Zbigniew Hrabia Gorzeński 30 kogutów.

Pan Mieczysław Swinarski 3 koguty

i gospodarz Pan Hrabia Zygmunt Kurnatowski 38 kogutów.

Pierwszy i ostatni poranek był dżdżysty, a trzy poranki były mroźne (— 3° R).

Strzelano 6-cio, 7-mio i 8-mio milimetrowymi karabinami systemu Mausera. Cześć myśliwym!

Theurich, nadleśniczy.

Dąbrowa, dnia 23 kwietnia 1907

Skrzynka do listów.

WP. Orlińskiemu. Zamieścimy w odpowiednim czasie, jeżeli Szan. Pan zezwoli na małe skrócenia z względu na szczupłe ramy naszego pisma.

WP. K. Wojczyńskiemu w Kórniku. Za cenny przyczynek do terminologji myśliwskiej bardzo dziękujemy. Zajmujemy się właśnie ułożeniem całej nomenklatury, którą zaczniemy drukować, gdy będzie zebraną.

Szan. Autorom dalszych nadesłanych nam artykułów dziękujemy za życzliwość. — Prace ich w miarę miejsca zamieszczać będziemy.

Za redakcję odpowiedzialny Dr. Tadeusz Jaworski w Poznaniu.
Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.